

# WIDZ RÓWNIEŻ JEST KŁAMCĄ

*Pisarz jest kłamcą, aktor jest kłamcą i widz również jest kłamcą* - twierdzi tytułowy bohater sztuki Thomasa Bernharda **Komediant**, którą w Teatrze Jaracza wystawiła Agnieszka Olsten. Czy w tej sytuacji recenzent może powiedzieć o spektaklu prawdę? Czy raczej pokornie przyznać, że jako *pisamak bez najmniejszego pojęcia* przedstawia jedynie swoją wersję, swoje racje i swoje kompleksy? Słynny paradoks kłamcy mówi jednak, że przyznając się do kłamstwa (*ja teraz/zawsze kłamię*), jednocześnie kłamiemy i mówimy prawdę. Nie da się wypowiedzieć zdania na temat języka, w którym się to zdanie wypowiedziało. Czy dotyczy to także języka teatru?

Grany przez Agnieszkę Kwietniewską słynny aktor Bruscon pyta w jednym z monologów, jak może aktor przedstawiać króla, skoro nie wie, co to takiego król. Jak może aktorka przedstawiać babę od krów, jeśli nie wie, co to krowa? Idąc tym tropem, należałoby stwierdzić, że w zasadzie aktor może grać tylko aktora, a reżyser może robić jedynie spektakle o teatrze. I tak właśnie postępuje Agnieszka Olsten, fundując nam dwugodzinną wizytę za kulisami prowincjonalnego przedstawienia w gospodzie maleńkiego Utzbach. Jesteśmy co prawda w teatrze, a nie w gospodzie, ale w dążeniu do realizmu reżyserka jest naprawdę konsekwentna: chorą na kataraktę córkę gospodarza gra gościnnie niewidoma Linda Rojewska, a właściciela sali sam dyrektor Sebastian Majewski (całkiem dobrze). Przed spektaklem widzowie są nawet częstowani plasterkami kielbasy (nie kiszki - jak wynikałoby z tekstu), a na widowień przechodzą, zaglądając do garderoby aktorów. Ale im bardziej to wszystko jest prawdziwe, tym bardziej jest sztuczne. Teatr jest paradoksem, fascynującym swoją przewrotnością.

Lubię połamany rytm prozy Bernharda, te wszystkie powtórzenia i zapętlenia. Coś w tym jest i to coś gościnnie występująca w Jaraczu Agnieszka Kwietniewska potrafiła oddać, tworząc postać znerwicowanego, chimerycznego kaboty, rodzinnego tyra w słuchanego w echa swojej sławy sprzed lat. Występ w Utzbach jest poniżej jego godności, ale rosół z makaronem ktoś przecież musi postawić. Z drugiej strony to ktoś zafascynowany teatrem, wręcz uzależniony od sceny, narkoman, który potrzebuje coraz silniejszych dawek, więc odgrywa swoje psychodramy wobec rodziny. Błędne koło tej historii zamyka się, gdyż im bardziej Bruscon nienawidzi swojej publiczności, tym gorszy ma z nią kontakt i tym bardziej trafia ze swoją sztuką w próżnię. To z kolei jeszcze bardziej go frustruje. *Jeśli nie mamy w sobie piękna i na wskroś chory jest nasz duch i tak ubodzy jesteśmy wewnątrz.* Wtedy sztuka staje się czymś w rodzaju publicznej masturbacji. To trafna metafora, choć jak dla mnie za dużo w tym spektaklu zbyt dosłownej erotyki. Na szczęście członek komedianta okazuje się sztuczny, na szczęście komediant była kobietą. W przeciwnym razie mogłyby być kłopoty z graniami tego na scenie regionalnej w Sieradzu, w Utzbach, w domach widzów... Lubię połamane sensory prozy Bernharda, a jednocześnie mam wrażenie, że wystawianie go to w jakimś sensie pójdzie za pewną modą. Jeśli weźmiemy pod lupę różne wątki *Komedianta*, to konteksty austriackie (dziedzictwo faszyzmu) stają się w Polsce mniej istotne, sceny z portretem Hitlera stają się niezrozumiałe, zawieszane w próżni. A resztę mamy choćby w znakomitej powieści *Iksowie*, którą György Spiró poświęcił Bogusławskiemu (aż się prosi o adaptację). Albo *Komediantka* Reymonta...

Dlaczego Bruscona zagrała kobieta? Myślę, że reżyserka nie mogła sobie odmówić dość perfidnego żartu z patriarchalnych poglądów głównego bohatera - *pracować z kobietami w teatrze to katastrofa*. To przewrotne, gdy reżyserka każe aktorce wygłaszać takie słowa. Poza tym teatr to udawanie, przekraczanie ograniczeń, przebieranki, więc kobieta udająca mężczyznę jakoś się tłumaczy. Początkowo w tytułową postać miała się wcielić Barbara Marszałek - wywiad z nią jest nawet w programie. Dlaczego więc oddała rolę (podobno nie ona jedna)? Kwietniewska gra bardzo energetycznie, emocjonalnie. Gorzej radzi sobie z interakcją z publicznością - zwraca się do widzów,

ale gdy ktoś podejmie grę, nie potrafi zareagować, improwizować. Jako publiczność z Utzbach jesteśmy w sytuacji prowokowanych prowincjuszy - niektórzy próbują to przełamać, wchodząc w rolę mniej lub bardziej inteligentnych komentatorów. Kłamią jak zawsze.

To nie jest teatr jednego aktora. Urszula Gryczewska (Pani Bruscon) jest znakomita w improwizowanym monologu, w którym posługuje się wymyślonym, egzotycznym językiem. Wszystko rozumiemy, choć nic nie rozumiemy. Dorota Kielkiewicz (Żona Właściciela Gospody) właściwie tylko chodzi po scenie (poza tym wita gości i śpiewa piosenkę country), ale jej pojawianie się w różnych kostiumach (np. w zakrwawionym od kiszek fartuchu) jest przemyślanym kontrapunktem dla nerwowych poczynań głównych postaci. Agnieszka Więdłocha (córka Bruscona) mimo zdominowania przez ojca potrafi subtelnie zaznaczyć dystans wobec jego błazeństw. Majewski jest trochę z innej bajki, ale wnosi w ten niepokojący, całkiem dobry spektakl poczucie humoru (czasami trochę za łatwe, jak w monologu powitalnym). Bo poza wszystkim to całkiem śmieszna rzecz, gdy aktor za spektakl dostaje krąg żółtego sera (40 kg), a dyrektor teatru/gospody próbuje nam go na stronie odsprzedać. A przecież wiadomo, że miłośnicy teatru wolą mięso.